

NIE NOSZĘ CZERNI

W czasie swojego pobytu w szpitalu Damian bardzo się opiekował innymi pacjentami. Pomagał w ich pielęgnowaniu, odwiedzał i swoim dobrym humorem podnosił na duchu. Na przeciwko jego pokoju znajdowała się winda. W czasie naszej ceremonii ślubnej, która odbywała się w szpitalu, Damian bez przerwy podbiegał do windy czekając na chorego, którego mieli przywieźć po operacji raka płuc. Damian był bardzo podniecony, nie mógł się uspokoić. Uroczystość udało się dokończyć dopiero po tym, jak pacjent przyjechał.

Na drugi dzień rano był operowany. Na zabieg poszedł spokojnie. Ja w tym czasie prowadziłam próbę *Kogutów*, żeby nie oszaleć z niepokoju. Operacja skończyła się bardzo szybko. Wiedziałam, że jest gorzej niż źle. Profesor Dębicki otworzył klatkę piersiową... i zaszył. Nie było już co operować. Rak drugiego lewego płuca. Przerzuty.

Na te dni przyjeżdżała do nas z Warszawy Wanda Sierakowska. Siedziała w Gdańsku z Damianem cały dzień, po czym wracała w nocy do Warszawy. Tej przysługi do końca życia jej nie zapomnę. Również w czasie mojej choroby opiekowała się mną wożąc na zabiegi.

Na drugi dzień po operacji Damian otrzymał depeszę od Axera, angażującego go na najwyższą gaźę do Teatru Współczesnego. Był to wielki gest. Spełnił tę dodatkową funkcję, że Damianowi dał nadzieję, że widać jego stan nie jest jeszcze beznadziejny. Axer znał Damiana, ale nigdy nie łączyła ich jakaś szczególna przyjaźń. A przecież przyjaciół wśród dyrektorów miał Damian wielu. Żadnego jednak z nich nie stać było na taki gest.

Damian nadal był jeszcze w szpitalu, a ja pracowałam nad *Kogutami*. Po próbie generalnej nagle zobaczyłam go za kulisami. Uciekł ze szpitala, żeby zoba-

czyć rezultat mojej pracy. Kazał mi uklęknąć, po czym kładąc mi szcudło na ramieniu powiedział: "Pasuję cię na reżysera."

Kiedyś poprosił mnie, by mu pomasaować ramię. Ledwie go dotknęłam, a już poczułam pod obojczykiem guz wielkości jajka, a na plecach czerwone prostokątne wklęsnięcie.

Pewnego dnia powiedział, jakby od niechcenia, że chyba należałoby ochrzcić chłopców. Chciał, aby chrzest odbył się z pompą, żeby każdy z chłopców miał po trzy pary rodziców chrzestnych, żeby chłopcy byli przybrani w barwy narodowe, a na koniec miało być wielkie przyjęcie. Chrzest odbył się u św. Stanisława w zakrystii. Na przyjęciu Damian ledwie wysiedział. Palił bez przerwy i bez przerwy kaszał.

Coraz częściej siedział w łóżku. Drzwi się u nas nie zamykały. Kolegów przyjmował do końca. Kiedy byłam przy nim, nie musiałam się zmuszać do uśmiechu, stawałam się natychmiast wesoła. Znikało to, tak samo automatycznie, gdy wychodziłam z jego pokoju.

Któregoś dnia zaczął płuć krwią. Pojechałam do Leopoldowa, do znanego znachora. Pokazałam mu fotografię Damiana. Powiedział, że już jest za późno, nie chciał pojechać do Warszawy. Pojechałam do niego jeszcze raz – bezskutecznie. Potem trzeci raz. Postanowiłam czekać do skutku. Samochodu, wraz z szoferem w liberii, użyczyła mi Nina Andrycz – ówczesna premierowa i jeszcze pobłogosławiła na drogę. Siedziałam w Leopoldowie do zmierzchu. Wyszedł wreszcie z plebanii i wsiadł ze mną do samochodu. Siedział u Damiana długo. O czym rozmawiali – nie wiem. "Proszę się nie zadrećcać. Wszystko będzie dobre." – powiedział wychodząc. Wsiadł do samochodu premiera i odjechał do Leopoldowa.

Na drugi dzień wieczorem Damian dostał silnego krwotoku. Siedziałam przy nim z miską zimnej wody i robiłam okłady na piersi. Wreszcie zasnął. Rano poczuł się zupełnie dobrze. Poprosił o jajko na miękko. Zjadł. Powiedział, że może ten krwotok wyczyścił z niego całe to paskudztwo. Po chwili zasnął. Poszłam do łazienki umyć się i uczesać. Włosy wtedy miałam bardzo długie i zawsze było z nimi dużo zachodu.

„Mama! Umieram!” – usłyszałam nagle. Wbiegłam do pokoju. Siedział na krawędzi tapczanu, patrzył w okno i żegnał się. Wyciągnął rękę przed siebie w kierunku okna, dotknął moich włosów spadających na ramię i... upadł na plecy.

Pobiegłam do mieszkającego obok doktora Landy. Natychmiast wróciliśmy razem. Doktor zrobił zastrzyk. Klękając za plecami Damiana trzymałam na kolanach jego głowę.

Po chwili doktor powiedział: „Nie żyje”.

Był dziewiąty kwietnia 1951 r. Dzień jego urodzin. Miał pięćdziesiąt dwa lata.

Zaczęli się schodzić przyjaciele... Krysia Zelwerowicz położyła różę na piersi Damiana. Przyjechali jacyś ludzie z trumną. Podeszłam do szafy i wyjęłam z zewnętrznej kieszeni jego marynarki czerwoną szmatkę, którą zawsze nosił ze sobą. Zrobiłam to całkiem podświadomie. Ktoś położył mu nasączoną spirytusem chusteczkę na twarz, żeby nie siniała. Kto to był? Nie wiem. Nie weszłam już do pokoju. Już więcej go nie widziałam.

Zabrano go do kostnicy na Powązkach. Chodziłam tam co dzień, sprawdzałam, czy jeszcze jest... ciągle nie wierzyłam w to, co się stało.

Nadszedł dzień pogrzebu.

Przyjaciółki przybrały mnie na czarno, z czego nie zdawałam sobie nawet sprawy. Szłam za trumną nie uroniwszy jednej łzy, żegnałam się z nim uśmiechnięta, życząc, żeby go nic nie bolało.

Leon Schiller w mowie pożegnalnej nad trumną mówił pięknie o Damianie. Razem z grudką ziemi rzucił mu do grobu kwiatek i tę czerwoną szmatkę, którą tyle lat nosił w kieszeni. I tak odpoczywa już od pięćdziesiątego pierwszego roku w Alei Zasłużonych, obok swojego serdecznego przyjaciela, Stefana Jaracza. Majster i Damian... o czym oni ze sobą rozmawiają?

Nagle zauważyłam, że jestem w czerni! Struchlałam. Jak mogłam mu zrobić taką przykrość. Jakże chciałam zedrzeć z siebie ten okropny "kostium". Natychmiast po powrocie z Powązek uwolniłam się od tych smutnych łachów. Ubrałam się właśnie na białą. Pamiętam zawsze co mówił Damian:

„Będziemy żyli ze sobą tylko dwanaście lat. Za mało czasu na smutek. Ja, któregoś dnia, jak Dewajtis runę na ziemię. I pamiętaj, nie noś po mnie żaloby. Dostyc mamy przebierania się i maskarady na scenie.”

Mówił to żartobliwie. Jednak zapamiętałam te słowa i do dziś nie noszę czerni.

Irena Górska – Damięcka